

PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rub. 7 kop. 20; półrocznie rub. 3 kop. 60; kwartalnie rub. 1 kop. 80 miesięcznie kop. 60.

Na Pradze w księgarni S. Rzymskiego, Wileńska, 4.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rub. 2 kop. 50. rocznie rub. 10.

Cena numeru pojedynczego kop. 20.

Redaktor: Maryan Gawalewicz.

Wydawca: Piotr Laskauer.

Ekspedycja Główna przy ulicy Nowy-Świat Nr. 41.

ogłoszenia przyjmuje Administracja „Bluszczu“ po kop. 15 za wiersz petitem lub za jego miejsce.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie zlr. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 cent. 50.

W Krakowie: u D. E. Friedleina: kwartalnie zlr. 2 cent. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim dla abonentów „Dziennika Poznańskiego“ w Poznaniu kwartalnie 4,00 mk., z przesyłką pocztową 4,60.

Ks. Ignacy Hołowiński.

(W pięćdziesiątą rocznicę zgonu).



W dobie rozkwitu naszej literatury w pierwszej połowie zeszłego stulecia, mieliśmy na każdym polu pracy duchowej tak znakomite talenty, że blask ich, olśniewającym światłem swoim gasił promyki bledsze, bardziej nieśmiało migocące na horyzontach literackich, przebijające się powoli wśród chmur i mgławic...

Tak księżyc blednie, gdy słońce rzuci garść promieni—ale nie mniej jego światło cenimy.

Obok wielkich gwiazd mogą lśnić i małe—a, jak wszystko na świecie—przynoszą pożytek i mają wyznaczoną sobie zdawna celową drogę.

I pisarze nieuznani, mało cenieni za życia, niejednokrotnie okazują się potem godni sławy i pamięci, godni miejsca w sercach potomnych.

Geniusze torują ludzkości nowe drogi, talenty uczą nas chodzić po szlakach znanych; jedni i drudzy pracują owocnie dla przyszłości.

I dlatego z pyłu zapomnienia pamięć wdzięczna pokoleń późniejszych powinna wydobywać imiona—nie tylko najwybitniejsze—dawno zgasłych pracowników ducha.

Zasłużył na to, między innymi, i ks. Ignacy Hołowiński; w pięćdziesiątą rocznicę zgonu chcemy właśnie uświadomić społeczeństwu jego stanowisko w literaturze i zasługi, jakie na niwie pracy społecznej i literackiej położył.

Urodzony w Owrużu w roku 1807-ym ks. Ignacy Hołowiński był potomkiem szlachty ruskiej, herbem Kostrowiec się pieczętującej (z tą późniejszy pseudonim—Żegota Kostrowiec).

Kształcił się początkowo w domu rodzicielskim, później zaś w Wilnie, gdzie ukończył Akademię duchowną, następnie udał się do Żytomierza, gdzie zajął miejsce w kapitule tamtejszej, z tą zaś powołany został na pro-

fessora nauk teologicznych do Kijowa, do Uniwersytetu miejscowego.

Wykładał je przez lat kilka, aż do zniesienia Uniwersytetu (1839-go r.), poczem przedsięwziął pielgrzymkę do Ziemi Świętej.

Zwiedził Archipelag, Azyę Mniejszą—badał obyczaje obcych sobie ludów i krajów z ciekawością gorliwą, znamionującą podróżnika-badacza z zamiłowaniem; umysł jego lotny znajdował szerokie horyzonty do szybowania wzwyż, każda godzina w podróży spędzona wzbogacała go wiadomościami pożytecznymi, kształciła jego serce, kształtowała pojęcia, porządkowała myśli.

Powrócił z tej podróży światłym, wykształconym gruntownie i wszechstronnie człowiekiem.

Otrzymał zlecenie od władzy swojej uporządkowania stosunków kościelnych na Litwie i Białej Rusi, zabrał się do tego z tą niezmordowaną pracowitością, która była cechą jego silnego charakteru.

W r. 1842 został ks. Hołowiński profesorem i rektorem Akademii Duchownej w Wilnie. I na tem stanowisku rozwinął on działalność ożywioną. Dobro Akademii mając na celu, wierząc, iż działa ku jej pożytkowi, przeniósł tę uczelnię z Wilna do Petersburga.

Tak zbiegło mu znów lat kilka pracowitego żywota; w r. 1848-ym został sufraganem arcybiskupa mohylowskiego i przez trzy lata z właściwą sobie sumiennością spełniał te obowiązki.

Wreszcie w r. 1851-ym mianowano go arcybiskupem mohylowskim i metropolitą—i na tem jednak stanowisku nie zarzucił niwy literackiej, obok społecznej, zawodowej, i tamtą, uprawiał—ale trud ten był już po nad jego siły.

Zdrowie wyczerpane bezustanną działalnością, podkopane pracą w kilku kierunkach—nie wytrzymało. W końcu r. 1855-go ks. arcybiskup Hołowiński zaniemógł—a w Grudniu tegoż roku już nie żył.

Śmierć bezlitośnie przecięła pasmo istnienia pożytecznego pracownika w chwili, gdy dochodził już swego rozwoju.

Jako wysoki dostojnik Kościoła, ma ks. Hołowiński osobną kartę w dziejach tegoż; niemniej nieposlednie miejsce zajmuje i w literaturze.

Od wczesnych lat zdradzał on pociąg do pióra, a władał zarówno rymem, jak prozą.

Ze wspomnień odbytej podróży wydał wspaniałe dzieło: „Pielgrzymka do Ziemi Świętej“, które od razu imię autora uczyniło głośnym (1842—1845, w 5-iu tomach).

Wcześniej jeszcze, bo w r. 1840-ym dał się poznać, jako tłumacz Szekspira: pod pseudonimem Ignacego Kefalińskiego, wydał w tym czasie sześć tłumaczonych przez siebie dramatów, a chociaż przekłady te, zarówno jak i inne, dokonane później („Sonety“ Petrarki), nie stoją na wyżynach artyzmu, wszelako w epoce owej liczone były dość słusznie do poprawniejszych.

Wydane w r. 1843-im „Legendy“, osnute na tle podań religijnych i Piśmie Świętym, również, choć są oryginalnym tworem Hołowińskiego, nie zapewniamy mu pierwszego miejsca w rzędzie znakomitszych pisarzy.

„Dzieciątka Jezus“ za to—poemat, który autor starał się podnieść do wyżyn natchnień biblijnych, posiada wybitne zalety, a jakkolwiek i tu znajdujemy wiele usterek, to jednak nie pozbawiają one tego utworu szerego poetyckiego wdzięku i prostoty.

Jako prozaik jednak, głównie zasłynął ks. Hołowiński i jako prozaika powinniśmy go przypomnieć pamięci ogółu.

Owoc studyów pracowitych i ciekawych spostrzeżeń, książka łącząca w sobie piękność języka z gruntowną znajomością przedmiotu—„Pielgrzymka do Ziemi Świętej“—jest i pozostanie dziełem, na którym oprócz się może zawsze krytyka, gdy zechce wdać się w ocenę działalności literackiej ks. Hołowińskiego.

Ani „Legendy“, ani „Dzieciątka Jezus“, ani „Hymny kościelne“ nie zapewnią swemu autorowi stanowiska wybitniejszego w dziejach piśmiennictwa ojczyzno, jak to już powiedzieliśmy wyżej—dopiero późniejsze „Pisma Żegoty Kostrowca“, utwory, rozrzucone po ówczesnych czasopiśmiech z „Pielgrzymką“ na czele—stawiają go obok najlepszych prozaików doby minionej. Mówiliśmy już o działalności Hołowińskiego, że była różnorodną; i nie inaczej: człowiek, co dźwigał na swych barkach ogrom pracy, jako administrator olbrzymiej archidiecezyi mohylowskiej, jednocześnie bę-

dając poetą i prozaikiem, miał czas na pracę kaznodziejską.

Jako kapłan też sływał z wymowy, tchnącej prostotą ewangeliczną i ożywionej prawdziwie chrześcijańskimi uczuciami; jego kazania, które wyszły w dwóch osobnych zbiorach („Homiletyka,“ 1854, „Kazania,“ 1857) są potwierdzeniem tego.

Dziś, gdy na fali czasu odbiegło w wieczność tyle lat od dnia jego zgonu, gdy duch jego już tylko błąka się może po nad nami w przestrzeniach bezkreśnych, nie godzi się przejść bez wspomnienia, nie godzi się, choćby w paru słowach nie zaznaczyć pracy zmarłego pisarza, nie uczcić go po śmierci chociażby drobną wzmianką. Żył dla kraju, dla dobra ogółu pracował, a trudowi nieustannie poświęcił życie.

To też ze czcią i uznaniem odnieść się należy do tej pracy, ślad jej utrwalić, imię zaś niezamordowanego działacza uwiekopomnić.

Albowiem:

„Zgina od prądów chwilowych zawiśli
Za widmem sławy goniący sztukmistrze,
Lecz nie zaginie siew szlachetnej myśli
I nie przypadną natchnienia najczystsze.

A to był właśnie „siew szlachetnej myśli“ —
co wydał plon bogaty...

Cześć więc pamięci takich siewców!...

K.



PŁOMYK.

URYWEK Z WIĘKSZEJ CAŁOŚCI.

Napisała

EUGENIA ŻMIJEWSKA.



(Dokończenie).

26-go Kwietnia.

Lekcya religii wypadła podczas dyżuru panny Agaty. W chwili, gdy wchodził ks. prefekt, wezwano ją do pani przełożonej, a u nas przez ten czas siedziała panna Lenina — zapewne urządziłi tak naumyślnie, żeby nam ksiądz czego nie powiedział. On tylko mówił o grzechach głównych, najdłużej o gniewie. Powiedział, „że gniew nie szkodzi temu, na kogo się wylewa, tylko temu, kto ma w sobie gniew, czyli nienawiść. Zwycięża nie ten, kto nienawidzi, choć jest czasem silniejszy i depce — zwycięża ten, kto jest deptany niesłusznie, bo staje się tak mocnym, że „bramy piekielne go nie przemogą“ i uczy się dwóch wielkich cnót: cierpliwości i miłczenia. Te cnoty zrodziły się w katakumbach, deptał po nich Rzym wszechwładny, ale one zawojowały Rzym.“ Pamiętam każde słowo, bo zapisywałam. Wszystkie zrozumieliśmy co to znaczy, ale zdaje się, że i panna Lenin także.

Mówią, że ksiądz prefekt dostanie dymisy od wakacji... Wszystko ma być zmienione. Ani jedna z dam Polek nie utrzyma się. Nasz professor literatury, p. Grzybowski, podobno chory. Nie przychodzi na lekcye. Rozumiemy: nie chce nas uczyć polskiego — po rosyjsku. I on pójdzie *won*. Tylko my zostaniemy. Gdybyż to i nas wypędzili! Bardzobym chciała, tylko się boję mamy.

29-go Kwietnia.

Słusznie mówi przysłowie: „Potrzeba jest matką wynalazków.“ Znalazłyśmy sposób na to „rozporządzenie.“ Wygadamy się przez dwa dni po francuzku i po niemiecku, a trzeciego — milczymy. Oprócz mnie i dwóch innych, reszcie bardzo trudno się wysłowić, mówią *comme des vaches espagnoles*, ale mówią, aż im uszy

czerwienieją z wysiłku. Rossyanki doniosły Wernerzycy, że robimy się głuchonieme co trzeci dzień. Wprowadziła nową modę. Wieczorem, po przygotowaniu lekcji, mają być głośne konwersacje rosyjskie na zadany przez nią temat. My będziemy zawsze mówiły, że nie umiemy jeszcze lekcji.

1-go Maja.

Nie myślałam, żeby *ona* była od tego stopnia podlizuską i nikizemnicą! Teraz dopiero wyszło na jaw, że nie kazali nam wcale modlić się po rosyjsku, tylko w naszej klasie tak się rozporządziła Wiedźma. Opowiadały nam to panny z ostatniej klasy. One mówią, że niema gorszego potwora, jak Luter, który chce koniecznie być Rossyaninem. Wernerzyca pochlebia i przesadza w gorliwości, bo chce się utrzymać na posadzie *damy*. Rozumiem teraz, dlaczego przełożona spojrzała ze zdziwieniem, kiedy jej Natałka mówiła, że nie może odmawiać pacierza po rosyjsku; rozumiem, dlaczego Wernerzyca spiekła raka. Ale jej nie zrobili za kłamstwo podłe, a Natałka została wypędzona, choć nie zawiniła.

28-go Maja.

Od pewnego czasu — od awantury z Natałką, dałam pokój adoracyom. Tak nas przynębił zakaz mówienia po polsku, że nawet miłość zobojętniała. Dawniej, gdy kilka pannen rozmawiało po cichu, można było się założyć, że mówią o swoich ideałach. Dziś, skoro tylko zdołamy się ustrzedz od szpiegostwa Rossyanek albo dam, mówimy — naturalnie po polsku — o tym „nowym systemie,“ albo uczymy się polskich wierszy.

Panny z ostatniej klasy dostały ukradkiem zakazane wydanie Mickiewicza i Krasińskiego. Powyrywały kartki z książek i rozdają wszystkim po kilkanaście. Po przeczytaniu albo wyuczeniu się, zamieniamy ze sobą kartki, tak, że one są w ciągłym obiegu, no i naturalnie, w ciągłym ukryciu: chowamy je za gorset, w zeszyty, pod podeszwy; przez dwa dni nosiłam urywek z „Irydyona“ w cholewce trzewika, podprułam podszewkę i wsunęłam między płótno a skórę, a w nocy kładłam pod poduszkę.

Czasem trudno dostać dalszy ciąg albo dokończenie poematu, jedna kartka nie pasuje do drugiej, ale na to nie zważamy. Nigdy jeszcze nie kochałyśmy tak bardzo polskiego języka, jak teraz, a nigdy też wszystkie klasy tak się nie łączyły. Siódma przestała być dumną i „wyniosłą,“ zadaje się nie tylko z nami, bo my, to już prawie koleżanki — ale i z pędrakami z pierwszej. Tym najlepiej — opiekujemy się niemi wszystkie. Co one się najedzą cukierków! A zapamiętają chyba, że są Polkami, bo im to sześć klas powtarza przy każdej sposobności.

I one już same potrafią znaleźć sposobność, żeby się z nami porozumieć. Niech tylko która zobaczy, że dwie Polki idą razem, a nikt nie podgląda, wsuwa się, jak szpileczka.

Dałyśmy im ballady i bajki. I z tego nawet mało rozumieją, ale uczą się zawzięcie, a po nocach płaczą, bo się boją upiórów, „skrwawionej męża zbójczyni żony“ i t. p. My im tłómaczymy, że Polki powinny być odważne. Mało to pomaga! Kiedyś, dziewięcioletnia Mania Zawadzka dostała maligny i wykrzykiwała na cały dortuar: „Ach, jak tam zimno musi być w grobie,“ „Nie lubię swiata!“

Szczęściem, dyżurną damą była Polka, bo możeby się wydało. Malcy biorą wszystko na seryo i nie znają się na allegoryach. Trzeba mieć dla nich pobłażliwość. Zaczynamy się lubić nawzajem. Już nie dokuczamy jedna drugiej; wszystkie jesteśmy z sobą po imieniu, nie po nazwisku. Nawet malutkim pozwoliłyśmy mówić do siebie w trzeciej osobie.

Potrafiemy już rozmawiać, nie ruszając ustami, albo ucząc się niby to lekcji. Trzeba to robić ostrożnie, bo Rossyanki mają wciąż

uszy nadstawione. Każda, która złapie na mówieniu polsku, dostaje dobry stopień ze sprawowania, więc się zepsuły. Jest jeszcze parę porządnych, Zawilina zawsze ta sama.

10-go Czerwca.

„Płomyk!“ Jak to ładnie brzmi. To ja jestem Płomyk. Nazwała mnie tak panna Agata. Nie posiadam się z radości. Więc ona mnie lubi! Coprawda już nie dokuczam jej adoracyami. Od pewnego czasu była dla mnie coraz lepsza — kazała odnosić koszyczek z robotą do swego pokoju — to wielka łaska. Wczoraj spotkałyśmy się na kurytarzu. Ja wychodziłam z lekcji muzyki, a ona szła do siebie. Na kurytarzu nie było nikogo. Pierwsza zbliżyła się do mnie — myślałam, że zemdleję ze wzruszenia!

— Mam dla ciebie ukłony od Natałki, — rzekła, naturalnie, po polsku.

— Pani ją widuje?

— Tak, w moje dni wolne. Daję jej lekcye. Opowiada mi dużo o tobie. Mówi, że ty jedna byłaś dla niej dobrą.

— Ja ją uwielbiam. Ona — bohaterka.

— A ty — zapalona głowa. Płomyk! Pociwiwe serce, tylko trzeba się pozbyć egzaltacyi. Pocałowała mnie i odeszła.

Teraz to doprawdy jestem w siódmym niebie i łatwiej mi będzie znosić prześladowania. Zawdzięczam im moje szczęście. Gdyby nie one, w dalszym ciągu wyprawiałabym adoracye i nie zasłużyłabym na anielską dobroć mojej ukochanej.

15-go Czerwca.

Tak byłam szczęśliwa po tej rozmowie z panną Agatą, a teraz mam świnkę i odesłali mnie do infirmaryi. Zaraziłam się od Nolskiej. Tęskno mi do mego ideału, ale za to przynajmniej mogę się nie przygotowywać do egzaminu, mogę marzyć i pisać dziennik. Łatwiej tu, niż w klasie. Przeszkadzają mi tylko Sierzpowska i Jawnut. Leżą obok mnie. Jak tylko wyjdzie z pokoju infirmaryi, dalejże obejmować się, ścisnąć, cmoknąć, aż obrzydliwość bierze. I ja lubię całować. Całowałabym okropnie pannę Agatę — ale nie śmiałabym nigdy w same usta — po ramionach. Zamykam oczy, żeby na to nie patrzeć, bo jakoś mi wstyd. Jedna drugiej wycięła swoje litery nad znakiem od szepionej ospy. I ja mam literę panny Agaty. Teraz znowu myślę więcej o miłości, bo mam czas. Na świecie ślicznie, noce księżycowe. Balkon wychodzi na nasz ogród. Wczoraj siedziałam wieczorem i marzyłam, że płynę po rzece, albo po morzu i zostawiam srebrną smugę. Ze mną na łódce płynie... ktoś... sama nie wiem... Ludzie kochają się, całują, a ja muszę siedzieć w infirmaryi. Duszno... ciasno... a tam ogród... Chciałabym rzucić się na zroszoną trawę... pomimo świnki. Nie boję się ciemności... zbójów trochę. Ogród otoczony wysokim parkanem... Zbój nie mógłby się zakraść... Co o tem myśleć... Na nic się nie zda..

22-go Czerwca.

Jakiś zły duch mi podszeptał iść do tego ogrodu. Wysunęłam się cichutko. Zeszłam krętami schodami infirmaryi do bocznej sionki. Drzwi były zaryglowane. Odsunęłam rygiel i znalazłam się w ogrodzie. W pierwszej chwili zdało mi się, że jestem w niebie — tak tam było rozkosznie, pachniały nie tylko kwiaty, ale i trawa, i drzewa, i powietrze. Zupełnie inaczej być w ogrodzie samej, jak iść w parze z całą pensją i damą klasową na końcu. Wszystko piękniej wygląda w ciszy i samotności. Było mi tak, jak gdyby zbrakło miejsca na serce w klatce piersiowej (nie pamiętam, czy serce jest w klatce piersiowej) tak urosło i rozwieliło się, i biło bardzo mocno, i podchodziło do gardła, i dusiło mnie. Otworzyłam usta i z całych sił wciągałam powietrze, żeby się niem nasycić, a potem rzuciłam się jak długa, na trawę,

i całowałam ją, i gryzłam, i byłabym śpiewała i krzyczała, gdyby nie strach, że mnie posłyszają, tak się czułam szczęśliwą.

Nie, nie żałuję, choć ciężko odpokutowałam tę rozkosz; gotowam raz jeszcze pójść po nocy do ogrodu, żeby raz jeszcze być tak szczęśliwą, choćbym wiedziała, że cierpieć będę potem. Zresztą ja lubię cierpieć, lubię płakać, lubię, żeby się na mnie oburzali.

W pierwszej chwili myślałam inaczej i byłabym oddała nie wiem co, żeby to się nie stało. Aż zcierpiałam ze strachu, kiedy, wracając z pękami gałęzi i kwiatów, we drzwiach od sieni zobaczyłam infirmerkę i dyżurną damę.

Przypadły do mnie, jak furye.

— Gdzie byłaś? — krzyknęła dama, pani Taras (ona tego dnia spała w infirmerii).

Nie mogłam wydobyć głosu i trzęsły się podemną łydki.

— Bezwstydnico, zhańbiłaś całą pensję! — wrzeszczała pani Taras. — Mów, z kim byłaś? Jakto z kim? co to znaczy?

Nie rozumiałam.

— Odpowiadaj mi natychmiast, kto był z tobą?

— Nikt — szepnęłam, — nikt. Ja byłam sama.

— Kłamiesz! — zaprzeczyła infirmerka.

Nie wiem, z kąd wzięło mi się na odwagę, ale podniosłam głowę i odpowiedziałam, patrząc jej prosto w oczy:

— Ja nigdy nie kłamię!

— Więc po co chodziłaś do ogrodu? — pytała już trochę ciszej pani Taras.

— Sama nie wiem. Ot, tak nagle przyszła mi szalona ochota. Bardzo lubię drzewa i kwiaty, i noc księżycową.

— Może lunatyczka? — szepnęła infirmerka do damy, ale ja to posłyszałam.

Pani Taras wyrwała mi z rąk gałęzie i tupiąc nogą, zawołała:

— Marsz do łóżka! Jutro się rozprawimy.

Kazały mi iść naprzód po krętych schodach. Dolatywały mnie słowa ich rozmowy.

— Ona na to za głupia — mówiła infirmerka. Gdyby tak było, nie przynosiłaby tego zielska.

— Może istotnie lunatyczka, a może ma gorączkę. Co mówił dziś doktor? Czy mierzył temperaturę?

Nie rozumiem: na co ja jestem za głupia? bo, że niosłam gałęzie, to istotnie wielka głupota; choćby mi się udało wrócić niepostrzeżenie, co bym powiedziała, gdyby mnie nazajutrz zapytali: z kąd masz te gałęzie? Nie przyszło mi to na myśl, zrywając je; chciałam wziąć coś na pamiątkę tej cudnej nocy. No, i wszystko wyszło na jaw. Kazali mi się rozebrać. Wtedy dopiero uczułam, że jestem zmęczona i że mi zimno; okryłam się koldrą, a pomimo tego trzęsłam się. Przyszła pani Taras, stanęła przy moim łóżku, nic nie mówiła, tylko mi się przyglądała takimi strasznymi, wylupionymi oczyma, a ja trzęsłam się coraz więcej — już teraz nie tylko z zimna, ale i ze strachu.

— Co oni mi zrobią, co oni mi zrobią? — myślałam.

— Trzeba jej dać na poty — powiedziała pani Taras do infirmerki. Tegoby tylko brakowało, żeby się rozchorowała na dobre.

Słyszałam, że się krzątają po pokoju, ale słyszałam coraz słabiej, a potem przestałam zupełnie słyszeć. Usnęłam...

Gdy się przebudziłam, był już biały dzień... W pierwszej chwili byłam jakby oszołomiona, ale powoli przypominałam sobie wszystko. Tak... to ja wczoraj chodziłam w nocy do ogrodu... Złapali mnie, pytali z kim byłam, a potem infirmerka mówiła, że jestem może lunatyczką i na coś jestem za głupia... Po chwili usłyszałam szepty, z drugiego pokoju dolatywały mnie urywane słowa. Poznałam głos Wernerzycy i panny Lenin.

— Ona to zrobi — mówiła Wiedźma, — jest z natury bojaźliwa, a ja mam na nią spo-

sób... dobry... Niech tylko odtechnie, bo z taką twarzą — śmiesznie... A nawet w ostatnim roku wyładniała... Mogłaby i Wernik... ona wskoczy w ogień za nagrodę.

Potem panna Lenin mówiła, że pani przełożona bardzo sobie czegoś życzy i że nazwisko polskie dużo znaczy, a Wiedźma na to:

— *Batiuszki!* Ja dla niej, ja i dla was... ja duszę oddałaby na *zertwe*.

Z pewnością! na rozkaz pani przełożonej onaby zaprzedała duszę dyabłu, gotowaby postawić się na głowie i chodzić tak po całej Warszawie... Podlizuska!

Ale czego pani przełożona chce... widocznie czegoś od naszej klasy, jeżeli mówi o Wernik... *Kto* ma zrobić i *co*? Może Nolska, bo ona spuchnięta — i ja także, ale nie o mnie była mowa, bo ja przecież jestem brzydka.

Udawałam ciągle, że śpię. Zaglądały do mnie raz, drugi i odeszły.

20-go Czerwca.

Dostałam list od papy. Obiecuje, że przyjedzie na popis i zabierze mnie na wakacje. Mama pisze, że zamówiła dla mnie u Hersego sukienkę — białą tiulową, naszytą białymi atlasowymi wstążeczkami i całą na jedwabiu. Mój Boże, czy mi pozwolą zejść na popis, a choćby pozwolili, czy będę mogła? Już mi lepiej na świnkę i gorączka mniejsza, ale twarz jeszcze trochę nabrzmiała.

21-go Czerwca.

Wczoraj przyszła do mnie pani Werner — już jej nie będę nazywać Wernerzycą — ona bardzo zła nie jest... Z początku srożyła się, ale potem zmiękła. Zrobiło jej się żal, gdy się rozplakałam.

— Powinszować *mademoiselle* Żalinskiej. Ładne sprawowanie! — zaczęła szyderczo. — Z kim ty byłaś w ogrodzie?

Milczałam chwilę, bo ze strachu głos mi zamarł.

— Byłam sama — odpowiedziałam wreszcie, — wszystkie panny już spały.

— Kto na ciebie czekał w ogrodzie? — pytała bardzo surowo.

— Nikogo nie było, żywej duszy.

— Mów prawdę, bo za kłamstwo jeszcze gorsza kara. Zresztą ja i tak wiem, co ty tam robiła.

Nie mogłam zrozumieć, o co mnie posądza. Nagle przypomniałam sobie truskawki. Doprawdy, że w nocy ani mi były w głowie.

— Proszę pani, na wszystko przysięgam, że nie zrobiłam żadnej szkody ani w truskawkach, ani w malinach.

Pani Werner wzruszyła ramionami.

— Nie udawaj jeszcze głupszej. I tak już głupia, że aż wstyd! A wiesz, jaka za to kara — mówiła, nachylając się nade mną. — Przypomnij sobie Łatkiewicz. Z tobą będzie jeszcze gorzej — wypędzą i napiszą w świadectwie, że ty prowadziła się niemoralnie. Wstyd, hańba na całe życie... Z tobą się nikt nie ożeni, choćby rodzice dawali nie wiem jaki posag...

Rozplakałam się... Mój Boże, nigdy nie wyjść za mąż!... A ja tak chciałam!... Co powie mama na takie świadectwo... chyba mi da różgę... Ojciec, biedny, jak się zmartwi! Oj, ja nieszczęśliwa! nieszczęśliwa! — myślałam, a łzy płynęły i płynęły.

Ona patrzyła na mnie i trzęsła głową.

— Mnie żal twoich rodziców — rzekła wreszcie. — Inna poszłaby na skargę do pani przełożonej, a ja — może nie nie powiem i poproszę innych, żeby nie mówili. Na przyszły rok będę cię pilnowała jeszcze więcej, a teraz, za karę, wyuczysz mi się doskonale „Miednego Wsadnika.“ Ja tobie zaraz książkę przyszlę i zaznaczę akcenty. Tylko, żeby mi było *doskonale* i ze stosowną intonacją... Wy mnie nie lubicie... wiem, wiem, a ja dla was, jak matka rodzona.

Z wdzięczności pocałowałam ją w rękę. Za-

biore się zaraz do uczenia. Ma mnie przesłuchać jutro.

22-go Czerwca.

Oj! prawda, że jestem głupia. Każdemu wierzę — nawet przekłętą Wernerzycy. Tak, Wernerzycy — już nie jest i nie będzie dla mnie nigdy panią Werner! Jak mogłam myśleć, że się nademną zlitowała? Akurat, to do niej podobne! Teraz wiem, że onegdaj z panną Lenin mówiły o mnie — nawet mnie nie cieszy, że wyładniałam. Sto razy wolałabym być brzydką i za mąż nie wyjść (choć to okropne!), niż deklamować „Miednego Wsadnika“ na popisie, bodaj przed samym cesarzem.

Nie, nie będę, za nic w świecie. A niech mnie wypędzą! Przecież i Natalka cierpi za kraj, za polski język — a ona niema rycerskiej krwi w żyłach, matka jej nie była baronówną, ojciec nie pochodził od wojewodów. Tak dawno chciałam być nieszczęśliwą, więc nareszcie będę, a w dodatku będę bohaterką. Na razie stehórzyłam — trzeba było postawić się ostro! Cóż, kiedy nie umiem. Wernerzycy tak mnie podeszła znienacka, że zgłupiałam do reszty i nic nie odpowiedziałam.

Naprzód kazała mi wydawać „Wsadnika“, przytupywała na akcentach, kiwała głową; wreszcie pogłaskała mnie i powiada, naturalnie po rosyjsku, bo teraz udaje, że po polsku nie umie:

— Niegodna ty łaski, ale ty u mnie faworytka i wyuczysz się doskonale... Gotowa jestem prosić pani przełożonej, żeby ci pozwoliła zadeklamować pojutrze na popisie. Byłby dla ciebie zaszczyt ogromny. Ma być Wielki Książę. Tylko ty nie zapomnij wierszy, jak go zobaczysz... On bardzo potężny, ale dobry, wszystkie panny dostaną od niego po funcie cukierków, a te, co się będą popisywać, po dwa funty... najlepszych — samych czekoladek. Właśnie dziś przysłali tobie na popis śliczną białą suknię... Musisz ładnie wyglądać... wszyscy będą patrzeć na ciebie — i Wielki Książę spojrzy... Czy ty mogła marzyć o takim szczęściu?... Nie jedna chce być na twojem miejscu, ale już ja w tem, że pani przełożona ciebie wybierze. Zostaniesz tu przez te dwa dni, żebyś zupełnie wydobrzała. A teraz podziękuj i naucz się kłaniać... ot tak, widzisz?

I ja na to wszystko nic — ani słowa. Prosta służąca jest lepszą Polką ode mnie.

Dopiero po wyjściu Wernerzycy zrozumiałam, jaki ze mnie tchórz nikczemny, i ogarnęła mnie rozpacz. Rzuciłam się na poduszkę i zaczęłam płakać.

Wtem słyszę, że ktoś się zbliża i nachyla nade mną — myślałam, że to panna Agata, podnoszę głowę — nie, to Apolonia.

Sprzątała w drugim pokoju i słyszała.

— Panienko — mówi, — proszę tego nie robić. Pani Werner na zle namawia. Słyszałam w kaplicy, jak panny szeptały, że *oni* chcą, żeby w tym roku Polki popisywały się z ruskimi wierszami i że tego nigdy nie było i że to byłby wielki wstyd, właśnie w tym roku... Dlaczego, panienko lepiej rozumie ode mnie... Z szóstej klasy wybrali panienkę, bo jest famulantką. Panna Zapolska chciała przyjść — ostrzedz, ale nikogo nie kazali puszczać, nawet panny Agaty — niby wedle świnki, której już niema. Tak ja sobie myślę: co tam, powiem, choć mogę miejsce stracić. Moja panienko, proszę się tylko nie wygadać, że to ja...

Pocziwa dziewczyna! jestem jej bardzo wdzięczna! Teraz nie dam się! Żeby to już papa przyjechał!

25-go Czerwca.

Nikt już tego nie nazwie egzaltacją — nawet panna Agata zmieniła zdanie. To już jest rzeczywiste i prawdziwe cierpienie za dobrą sprawę, choć mnie właściwie *nie* wypędzili. Ojciec sam mnie odebrał, a świadectwo

podarł w oczach pani przełożonej... Ale choćby wypędzili, to mniejsza hańba, niż deklamować po rossyjsku na popisie, i to przed taką wielką figurą. Nie deklamowałam.

Ciężkie były chwile. Umyłam się, żeby znowu spuchnąć — nie spuchłam. Mówiłam, że mnie gardło boli — doktor obejrzał i powiedział, że nieprawda. Nie byłoby mnie zmusili — o nie! Jak to jednak szczęśliwie, że w wilię popisu przyjechał ojciec! Nie chcieli go do mnie puścić. Wernerzyca mówiła, że odbywam pokutę za wykradzenie się po nocy do ogrodu i że przez kilka dni jeszcze nie wolno mi widywać nikogo. Ale panna Agata powiedziała papie, że mnie chcą zmusić do popisowania się wierszami ruskiemi.

Papa poszedł do pani przełożonej i powiedział, że mi nie pozwoli deklamować i że mnie zupełnie zabiera.

Mój kochany papa, jaki odważny, — nawet nie myślałam, bo w domu słucha mamy we wszystkim i choć z początku nie chciał, żeby mnie oddała do Instytutu, jednak się zgodził.

Teraz mówi, że wolałby jeszcze raz pojechać na Syberyę, niż mnie tutaj zostawić. Obiecał, że nie powie mamie o wycieczce do ogrodu, a że nie chciałam deklamować „Wsa-dnika“, o to mama gniewać się nie będzie...

Jak Natalce, i mnie nie pozwolono z nikim się pożegnać. Spotkało mnie jednak szczęście ogromne i niespodziewane. W chwili, gdy już miałam wsiadać z ojcem do powozu, wybiegła na sam ganek panna Agata, uści-snęła mnie serdecznie i powiedziała:

— Bądź zdrow, Płomyku, a zapalaj się zawsze do sprawy dobrej...

KONIEC CZĘŚCI PIERWSZEJ.



D-r Henryk Nusbaum.

S E R C E.

Odczyt na Osady Rolne

wyłożony w Warszawie dnia 21-go Marca r. b.



(Dokończenie).

Nie jest to miłość bohatera lub geniusza przeszłości, bo tych kochamy tylko we wskrzeszonej pamięcią postaci. Nie jest to miłość idei oderwanej, albowiem pojęcie Boga jest dla ludzi wierzących więcej, niż ideą oderwaną.

W pewnym momencie dziejów ewolucji ducha ludzkiego, wielka miłość Bóstwa pojawiła się, jako nowy zupełnie klejnot, którym odtąd zajaśniał bogaty skarbiec serca ludzkiego:

Przed życiem czuję — nie przed śmiercią — trwogę,
Bo takie światy widzę tam przed sobą,
Że mi sen ziemski grobową żalobą,
I tem umieram, — że umrzeć nie mogę!

Umrzec lub cierpieć! — a cierpieć bez miary!
Bo mnie się z Tobą trza złać w Twojem niebie,
Lub, gdy nie można — żyć w piekle dla Ciebie!
Szlij mi więc męki, jak niebieskie dary,
Im srozsze będą, tem więcej mi błogie;
Ja przed spokojem tylko czuję trwogę
I tem umieram, że umrzeć nie mogę!

Asceta indyjski oceniając zawodność i przemijalność szczęścia ziemskiego, oraz ból pływ-

nący dla zwykłego śmiertelnika z klęsk rozlicznych, zapragnął w zlekceważeniu wszelkiej rozkoszy unieścić dla siebie gorycz jej braku, a w samo-dręczeniu stworzyć dla siebie przez siłę woli, przez autosuggestyę źródło istotnego szczęścia, które umacnia wiarą, że dobrowolne męczeństwo zbawi go od cierpień srogiej metampsychozy.

Asceta chrześcijański szuka wyrazu najsilniejszego dla ogromu miłości, jaką tchnie ku Bogu i nie znajduje potężniejszego nad samo-dręczenie, nad dobrowolne męczeństwo.

U ascety indyjskiego, motywem samoudręczenia jest swoiście pojmovane szczęście — celem upatrzonym: zbawienie się na wieki od cierpień.

U ascety chrześcijańskiego — motywem samoudręczenia jest jedynie miłość Boga — a królestwo Niebieskie tylko konsekwencyą.

Nawet na najwyższe szczeble krytycyzmu śmieie dotarłszy, nawet w najnieprzenikliwszy sceptycyzmu pancierz uzbrojony duch ludzki, staje w obliczu wielkiej niewiadomej, w obliczu nieogarnionej niepojętości ze wzruszeniem, które się wyłania nie z umysłu, bo umysł skończył tu doszczętnie wszelką rolę swoją, ale z głębi uczucia, z głębi serca.

Po za widmem barw słonecznych widzialnym, są jeszcze promienie niewidzialne, promienie światła dla wzroku naszego bezbarwne, przerastające jego sprawność.

Tak i promień uczucia, który wyrwa się z serca naszego ku niepojętej idei świata, ku wszechbytu twórczemu duchowi, którego istnienie narzuca się duszy ludzkiej, a staje się koniecznością w dziedzinie nieokreślonego, tęsknego jej wzlotu, nie jest w widmie promieni miłości widzialnym na podobieństwo promieni innych, ale drga tam falą dziwną, falą mistyczną, falą tak niepojętą, jak niepojętym jest ogrom, który ją wzbudza, drga siłą, która przerasta sprawność samowiedzy naszej ujęcia jej w barwę widomą, ale drga — miłością.

Ten bezmiar przestrzeni

bezmiar czasu,
bezmiar materji,
bezmiar energii

Ta myśl niepojęta

stosunków zawilość.

Ów cel niepojęty — słowem, ta olbrzymia zagadka, która ułamkiem li treści swojej, ułamkiem li formy swojej, ale natomiast całą cechą olbrzymiości swej, swej nieskończoności — przenika do maluczkiej świadomości naszej, wiąże nas z sobą, wiąże poczuciem jedności, przynależności, podziwu, wiąże swoistym promieniem — najbliższymi będziemy określenia, gdy powiemy — promieniem miłości wszechbytu, wszystko jedno czy wszechbyt ujmemy w formę dualizmu, monizmu, czy pluralizmu!

Ze światła promieniami porównywalimy miłości promienie, które z łona serca człowieka źródło swe biorąc, tak szerokie i dalekie obejmują widnokregi.

Ze światłem porównywalimy miłość, ale li ze względu na wielość i różnorodność promie-

ni, jakie w świetlanej miłości rozróżnić można. Ale pragniemy zaznaczyć tu życzenie: Niechaj miłość ludzka nie bywa podobną do światła, które oświetlając przedmioty, rzuca obok płam jasnych cienie. Niechaj miłość nasza zwracana ku jednemu, nie warunkuje konieczności nienawidzenia innych.

Niechby promienie miłości podobnymi raczej były do promieni ciepła, które wszystko na drodze swej przenikają na wskrós i strony ku nim zwrócone i od nich odwrócone.

Cienie rzucane przez światło ten pożytek nam niosą, że uwydatniają kształty, ich wklęsłości i wypukłości i wymiary liczne. A co dziś cień zasłania, przy zmianie stosunku do źródła światła, przechodzi w dziedzinę jasności. Co było nazewnątrż nas wczoraj ciemnym — stać się dziś może oświetlonem i nikomu żtąd krzywda.

Ale cienie miłości to ból i cierpienie bliźnich, a promienie jej, choćby następczo zwrócone ku zadany raz ranom, bólu odcierpianego już nie cofną.

Niechaj więc miłości promienie w formie biegu swojego będą raczej ciepła, niżli światła promieniami.

Zaiste, szuka wokół siebie człowiek źródeł szczęścia, a nie spostrzega nazbyt często, iż źródło to nosi sam we własnym łonie, że źródłem tem nieprzebranem jest serce.

Nie chce wiedzieć, że jest atmosfera, która wonia, nad wszelkiego kwieciami wonie, upaja, która czyni nas, jako ptaki niebieskie lekkimi i lotem darzy bystrym i wytrwałym i jako orłom unosić się w przestworza pozwala, atmosfera, w której oddychamy tchnieniem szerokim i krzepiącym, a błękit jej cudniejszy nad nieba błękit; a atmosferę tę sami wokół siebie roztaczać i z siebie wytwarzać bezgranicznie jest nam dano, że jest błogosławiona, każdemu przystępna, zawsze osiągalna — atmosfera serca, atmosfera miłości.

I gdyby kto poszedł za mędrcom królem, który w chwili pesymizmu przesiąkłej kontemplacji i zgorzkniałego nastroju zawołał: „Marność nad marnościami i wszystko marność,“ „Mądrość i umiejętność, wszystko jest szaleństwo i głupstwo.“

Gdyby kto zwątpił o świadomej idei świata.

I gdyby istotnie nie było Boga miłości, ani ducha twórczego świata z dążnością celową — to jeszcze od rozpaczki skrajnego pesymizmu, od śmiertelnego jadu nihilizmu etycznego zbawić nas powinno samo jedno zjawisko niewątpliwego istnienia serca ludzkiego!

Czy istotą zjawiska miłości byłyby drgania duszy, czy fizjologiczne odruchy, czy na dnie miłości leżałaby wola świadoma, czy prąd nerwowy, czy sprawa utleniania się białka — wszystko to jedno, wszystko to nie zmienia faktu, że człowiek kocha i umie kochać!

Niechaj nas mniej analiza istoty najwewnętrzniejszej zjawiska obchodzi, a raczej wielkość, ogrom i moc jego.

Człowiek kocha, przez miłość cierpi, przez miłość tylko może być najszczęśliwszym!

Są sercem przepelnionem miłością, którzy głowę pochylają w smutku, przekonani, że garść apostołów miłości sztandar swój zawsze wysoko nieść będzie i głosić jej słowa, ale, że

na arenie życia ludzkości miłość nigdy zwycięstwa święcić nie będzie.

Ale jednak wątpić nie można o jej trwałym istnieniu, o jej usiłowaniach, dążeniach, o jej lżach, o jej tęsknocie, o jej więzach, o jej męczeństwach, i bądź co bądź o jej tryumfach tu i ówdzie.

Zapewne, że wielkie rozłogi świata ludzkiego zalegają straszne pustynie bezczucia, zbyt rzadko i zbyt szczupłe widnieją wśród nich oazy, na których kwitnie i dojrzewa kwiat współczucia i miłości.

Ale lzy miłości i współczucia spływają bezustannie z oaz tych ożywczych na jałowe piaski bezczucia, użyźniają je zwolna, ale niewątpliwie stale, a słowo i czyn z miłości płynący zasiewa je i szczupleją one bez wątpienia stale na korzyść wzrastających oaz twórczej miłości.

„Mądrość i umiejętność, wszystko jest szaleństwo i głupstwo,“ — mówił król-mędrzec, — a mówił tak, bo w onej dobie, obcem było myśli jego uczucie wielkiej miłości bliźniego, wszechmiłości, miłości pokoleń przeszłych, współczesnych i przyszłych — miłości, której właśnie sprawność potęgują mądrość i umiejętność.

I w tem jest waga wielka mądrości i umiejętności, mądrość i umiejętność jedynie zapewnia powodzenie usiłowaniom miłości.

I w tem jest waga wielka mądrości i umiejętności.

Rozum daje miłości pochodnię, która wskazuje jej drogi ku celom zamierzonym i same cele oświeśla, aby ramiona jej ujęły rzeczywistość, a nie chwytały próżni.

Miłość to siła cała — rozum to kierownik jej, Miłość to moc — to napięcie energii, której od wybuchów płonnych broni, a do pracy najowocniejszej prowadzi ją mądrość i umiejętność.

Rozum nie dodaje miłości mocy, ale wzmacnia jej skuteczność. Rozum odsłania nam także nowe zupełnie cele, które w sercu naszym zbudzić są w stanie nowe miłości promienie — i w ten sposób podnieca rozum energię rozwojową serca i jako ongi Mojżesz uderzeniem laski wywołał ze skały ukryte w niej źródła wody ożywczej, tak rozum umie z serca naszego wywołać nieznane mu dotąd samemu potoki uczuć ożywczych.

Miłość natomiast dodaje mocy rozumowi, bo kto sam nie czuje, sam nie kocha, temu obcymi być muszą całe szeregi pojęć, dlatego nie rozjaśnionem pozostaje wielkie mnóstwo zjawisk życia, bez których pochód do prawdy, więc czynność rozumu na nieprzebyte trafia przeszkody.

O ty niepojęte ja, ze swoim ciałem czującym i swoim duchem myślącym i sercem kochającym, co w tobie największe jest?

Czy moc ciała, czy moc uczucia, czy moc myśli twojej?

Odpowiadasz mi:

Najpotężniejszą ze wszystkich moich mocy — jest miłości moc!



STARA MĘKA.



Gdy tułaczki cierpiąc karę,
W dom wszedł zdawna niewidziany,
Przypomniały mi się ściany,
Przypomniały kąty stare...

Przypomniały mi się sprzęty,
Co za młodych lat tu stały
I nad drzwiami poczerniały
Matki Bożkiej obraz święty...

Przypomniały mi się drzewa,
Co przed domem smętne rosła,
Rząd akacyi, które z wiosną
Białe kwiecie przyodziewa...

Przypomniały mi się chwile,
Złoto-modrych zmierzchów pawie,
Co rozpierzchły się na jawie,
Budząc w sercu pragnień tyle...

Duch złamany znów przykłęka
Przed serdecznych wspomnień bóstwem —
Przywalona nieszczęścię mnóstwem
Znów ożywa stara męka...

Wiktor Dzierżanowski.



Aniela Tripplinówna.

Z pobytu na dalekim szlaku.



(Dokończenie).

Pomyślałam sobie, że i u naszych chłopów wesele zazwyczaj bywa zbyt kosztowne, że za Niemnem, za Bugiem wesele najbiedniejszej pary chłopskiej obliczają na 200 rubli wydatku dla obu rodzin, narzeczonego i narzeczonej, że u nas często sama wódka wynosi kilkadziesiąt rubli na stadło, które w parę dni po ślubie osiada w czworaku, lecz na Wschodzie ożenienie w uboższym stanie to prosto ruina, równa się minimalnie wydatkowi dwóch tysięcy franków. Staralam się przekonać o tem szaleństwie moje znajome. Może zięciowie wszystkiego jeszcze nie wydali, możeby choć jakie 500 franków zostawili na przyszłą biedę. Perswazyje moje obudziły podziw i oburzenie.

Godzina późna, — już w pół do jedenastej, a mężów jeszcze niema. Chciałam się usunąć, góralki poczęły częstować mnie cukierkami, przygotowując znów kawę czarną, żeby mnie zatrzymała.

— Zostań pani do ich powrotu — prosiły, — bo to oni czasem ze zmartwienia grając w szachy i gawędząc, araku trochę za wiele wypiją, a potem w złym humorze wracają. Przy pani będzie cicho i zaraz pójdziemy spać.

Po kilku dniach prosiły mnie góralki, żeby koniecznie przyszła do ich pokoju pomówić o podróży i wyegzaminować, czy zięciowie dosyć rozumieją po angielsku, aby ryzykować podróż zamorską.

— Jako? — rzekłam, wchodząc do komnaty, gdzie o godzinie 11-ej z rana wszyscy śniadają, zjadając z ogromnego półmiska surową sałatę, surowy czosnek, cebulę, pajaki i ślimaki morskie. — Panowie, słyszę, wybieracie się do Ameryki. Tak wkrótce po ślubie zostawicie żony?

— Wcale ich nie zostawiamy, a zabieramy

z sobą, — odpowiada jeden z czterech mężów, tęgi, dwudziestoletni, przystojny góral. — Tutaj zamarlibyśmy z głodu. Budowa kolei libanowej skończona, o zarobek coraz trudniej. Zrobili tam za morzem majątek inni, toć i my zrobić możemy. Zarabiały inne kobiety, niech i nasze zarobku spróbują. Tu pracować nie mogły, bo każdyby nas palcem pokazywał, a co tam się dzieje, nikt tego tu nie widzi. Więc mniejsza o to, byle były pieniądze.

— Rozumie się, byle były pieniądze — zawtóżył brat, — my tam w Ameryce przez lat kilka na wszystko gotowiliśmy oczy zamknąć, byle wrócić z pieniędzmi i byle później zonom naszym dobrze było.

— Jużemy się wszyscy umówili, że poprobujemy, — odezwał się trzeci, młody, piękny góral, wyjmując z torby olbrzymią kiełbasę. — Różnie to gadają o zarobkach kobiet naszych w Ameryce. A ja sobie myślę, że które młodsze a piękniejsze, to widać i najpracowitsze w fabrykach, bo najwięcej do domu przywożą złotych dwudziesto-frankówek. No! jabym tam co prawda nie chciał, żeby moja żona mnie zdradzała, i nie wiem, co bym zrobił, gdybym się o tem przekonał, ale trudno, co być musi — tego nikt nie odmieni. Ani sam dyabeł z pustego nie naleje. Mielśmy nadzieję, że się w Beyrucie jaka lepiej płatna praca przy okrętach dla nas znajdzie — a tu nic a nic. Co robić? niech pani sama powie.

— Mnie się zdaje, że najlepiej byłoby skrócić podróż poślubną i prędzej na wieś wracać...

Z niecierpliwością przerwał mi mowę czwartki, który dotychczas delektował się ogromną cebulą i zdawał się nie zwracać uwagi na rozmowę.

— Co to pani bez sensu gada. Tych pieniędzy nie mamy prawa na nic innego użyć. Czy wy nie rozumiecie, że to byłaby kradzież świętokradzka, tak jakby kto poszedł i z ołtarza zabrał. To, co ma być na konkury, wesele i miodowe miesiące, to nie moje, tylko żony i teściowej. Pojedziemy do Ameryki i basta! Nie pierwsi żonki nasze na pokusę narażamy i nie ostatni. Jeśli nie zgrzeszą, to będą miały potrójną zasługę i potrójnie będą kochane. Zgrzeszą — no to od czegoż pokuta, spowiedź? Książdz rozgrzeszy, Pan Bóg wybaczy. Chrystus Pan jawno grzesznicy wybaczył, więc i my zonom będziemy musieli wybaczyć... tam za morzem. Co innego tu u nas — tubyśmy zaraz zabili. Ale tam, nikt z naszych nie będzie wiedział... prawda, żoneczko? — dodał wesoło, głaszcząc po głowie śliczną kobietkę.

Ot i nowa filozofia!

— Mówiłem przed zaręczynami — przemówił pierwszy z interlokutorów, — że gdzie jest taka nędza, jak oto u nas czterech wujecznych braci, tam musi być i grzech. Przysłowie nasze mówi: „Zanez el fakir, lil fakir — tukatter esz szahadyn“ („Ożeń biedaka z biedaczką, rozmnożysz żebraków“). Mamy przeszło po dwadzieścia lat, księża kazali się żenić, żeby nie było grzechu. Ja od razu powiedziałem: „Nie będzie tego grzechu, będzie inny.“ Dla siebie można nie ukraść, ale dla żony, to choć skradnij z ołtarza, a musisz jej codzień jeść do domu przynieść. Pan Baron, do którego nasza wieś należy, może być uczciwy i cnotliwy i jego żona może być cnotliwa, bo mają na to pieniądze — ale nie tacy nędzarze, jak my.

— Ale przecież i na podróż trzeba pieniędzy — wtrąciłam, — na dwie osoby trzecia klasa z utrzymaniem kosztuje do Ameryki dwieście franków od osoby. Od razu też zajęcia nie znajdziecie.

— Ha! — odrzekł filozof nowym argumentem i nowym przysłowiem: „Żebrałiśmy u Lazarystów i Franciszkanów na ożenienie, teraz pozebrzemy u Sióstr i u Jezuitów na wyjazd.

Oni, poczciwcy, do nas przecie zjeżdżają jak to sami mówią, żeby nas uczyć rozumu i zbawiać nam duszę.“ Zbawiają nas od różnych grzechów, jeśli nam dopomogą do znalezienia uczciwej pracy. Inaczej, to trzeba będzie kraść i rozbijać, jak Druzy robią. Ale Druzowie Mahometanie, gorzej nawet niż Mahometanie, oni się modlą do czarta. A my katolicy, najlepszego gatunku chrześcijanie. Ja to Siostrą i Jezuitom tak ładnie przełożę, że dadzą nam po 500 franków na każdą małżeńską parę—dadzą. Do gadania to ja majster, powiem im: „Moje dobre Siostry, moi dobrzy Ojczulkowie i my byśmy woleli mieć te pieniądze, co wy w szkatułach trzymacie i mybyśmy woleli mieć piękne gmachy i ogrody, jak te wasze, i mybyśmy woleli dawać, niż brać—boć i nasze przysłowie arabskie mówi: „Kilmet hod wela alf kilmet hat“ (Lepiej raz jeden powiedzieć: weź, niż tysiąc razy: daj). Ale cóż, kiedy nie możemy dawać, to musimy brać. Inaczej będziemy kradli, rabowali, mordowali, albo się wszyscy razem w morzu potopimy. Będzie ośm zatraconych dusz. Ho! ho! znam ja naszych francuzkich duchownych. Jak ja im to wystrzelę, to się tak przelękną, że zaraz otworzą biureczka. „Możecie być spokojne żoneczki i mateczki,“—dodał wesoło i począł całować żonę i teściową.

Kobiety, jak zwykle w obecności mężczyzn, milczały, tylko głowami dawały sobie wzajemnie różne znaki. Odzywać się mogą dopiero wtedy, kiedy mężowie ich do tego upoważnią.

Wtem zerwał się z krzesła zjadacz grubej kielbasy, ponury, najmniej sympatyczny z czterech górali i półgłosem, już nie po angielsku, lecz po arabsku przemówił:

— Słuchaj bracie, znam ja lepszy sposób na nich. Taki, którego sam parę razy próbowałem i zawsze mi się jakoś udawało. Palnij ty im w końcu: „A jeśli nas Siostry i Wielebni Ojcowie opuszczą w niedoli, to co? Żeby nie zostać samobójcami, pójdziemy do protestanckiego misjonarza na wzgórze i przechrzcimy się na ich wiarę.“ Wtedy oni nam na pewno dadzą pieniędzy, bo bardzo pragną utrzymać nas przy swoim katolickim kościele.

Tu już kobiety, widać szczerze pobożne, nie zmilczały dłużej. Zerwały się wszystkie jak jeden człowiek i gwałtownie wymachując rękoma, krzyczały:

— Tak nie mówcie, bo to grzech wielki. My za takie pieniądze wcalebyśmy z wami nie pojechały, boby nas Bóg ukarał. Utopiłby nas wszystkich podczas podróży.

— Mężu, czy słyszysz, co ja mówię?—wołała żona, szarpiąc za rękę winowajcę.

— Zięciu!—krzyczała teściowa, targając za drugi rękaw.—Tego nie rób, bo za takie słowa Matka Bozka nas wszystkich ukarze!

Aż się kobieciny spłakały wszystkie, tak były strachem zjęte, wobec częstych tego rodzaju odstępstw. Kapłani coraz srożej piętnują grzech frymarzenia religią i męki piekielne plastycznymi przedstawiają obrazami.

— Baby cicho! sza! sięść i milczeć!— huknął naraz filozof, i wszystkie od razu posiadały w milczeniu.—Teraz słuchajcie, baby szalone, przecież żaden z nas nie zmieniłby religii, boby się sam lękał o siebie, obraziwszy Chrystusa Pana. Tak, lękałby się zatonięcia. My tylko chcemy tak oto nastraszyć księży. Czy nie zrozumieliście tego, głupie baby? No, i czy to nieprawda, że kobiety rodzą się bez mózgu, przynajmniej w naszym kraju. Może tam u państwa jest inaczej,—dodał, widocznie przez grzeczność, albo przez wrodzony spryt. Wiedział, że doktor de Brun wielki wpływ wywierał na Jezuitów, wiedział, że ja go często widywałam, że Jezuiti do mnie zachodzili, zestawivszy więc w sekundę to wszystko, ciągnął dalej: Nie pani, nie, za żadne miliony żaden z nas nie zmieniłby świętej katolickiej wiary na żadną inną, bo tylko katolicka jest prawdziwa i daje zbawienie. Niech pani powie doktorowi swojemu, że my

wszyscy tak czujemy i tak mówimy i niech za nami się wstawi dobrem słówkiem.

W jednej sekundzie skombinował to wszystko sprytny góral, dał znak kuzynom i oni wnet w tym samym przemawiali duchu. Kobiety nie rozumiały tych dyplomacyi, tylko rozrzewniały się pobożnością mężów i zięciów. Z rozczulenia żegnały się i całowały swoje medaliki, różańce i obrazy święte, na ścianach wiszące.

Przyznać trzeba, że nadzwyczajnie sprytny jest lud tutejszy, a że oprócz tego ma wrodzoną jakąś dystynkcyę, że podczas kilku lat szkolnej nauki, ociera się o kolegów z wyższej sfery i o kapłanów—zapewnić mogę, że rozmowa z włościanami nieraz mi się wydawała bardziej ciekawa i zajmująca, niż gawęda z drzewiami patrycyuszami, którzy z małemi wyjątkami, dawno już zapomnieli, czego się nauczyli w gimnazjum i ożywiają się wyłącznie rozmawiając o interesach fachowych. U włościan więcej dostrzegam życia, werwy, a może też mniej są wyniszczeni fizycznie i umysłowo, nie żeniąc się wyłącznie od kilku stuleci z najbliższymi krewkami.

Co do pochopności w zmianie wyznania, niestety, skarżą się na nią wszyscy katolicy kapłani i tem objaśniają częste pieniężne ofiary, czynione gwoili ratowania zagrożonych odstępstwem.

I tym razem Siostry do wspólki z Jezuitami (jak się o tem przekonałam we dwa miesiące później), dały dwa tysiące franków, na wyjazd tych czterech stadł do Ameryki. Ksiądz Szymon kupił bilety i sam swoich protegowanych odwiózł łódką aż do parowca, żeby ich polecieć kapitanowi. Przed wyjazdem spowiadali się i komunikowali najprzykładniej, a do ostatniej chwili ze łzami w oczach błagali o opiekę nad starymi rodzicami.

Odjechali! Ale wrócą za lat kilka, o ile ich jaka nieprzewidziana katastrofa nie zmiecie ze świata. Wrócą, bo nie pojmują życia inaczej, niżli w próżniactwie orientalnem. Gdziekolwiek są, zawsze i wszędzie tęsknią za ojczyzną, t. j. nie za ojczyzną, w szero-kiem, poetycznym tego słowa znaczeniu, nie za ojczyzną, której każdy kamień jest drogim, każde zielsko najwonnijszym kwiatem, nie za ojczyzną, jako ukochaną, niezem nie zastąpioną matką, dla którejby umrzeć gotowi, lecz za kątem na świecie, który ich u- sposobieniu dogadza, zadawala wrodzone lenistwo, fizyczną potrzebę ciepła i upodobanie do próżniactwa, niedbałości, wreszcie, bo tę sprawiedliwość oddać im należy, ich przywiązania do rodziny bliższej i dalszej.

Ze smutkiem sprawdziłam niezliczone razy i powtarzam z panem Bezilem, że pomimo czterdziestoletniej bliskości pracy tyłu cudzoziemców, postęp Arabom Syryjskim nie wniknął do duszy, nie wtargnął im do mózgu, nie wyszlachetnił ich myśli, ani pragnień, nie rozbudził w nich ideału. Postęp istnieje tylko w kierunku dobrobytu materialnego, ideałami pozostały: karyera, fortuna, majątek i używanie egoistyczne.

Dla ojczyzny, dla niej samej, nie pożądamy niczego, niczego dla braci przez los pokrzywdzonych, tylko wszystkiego dla samych siebie i swoich najbliższych.

Tam, gdy syn, wróciwszy na wakacje do domu, z zapalem wspomina bohaterów, którzy, jak Leonidas umieli dla ojczyzny zginąć, ojciec i matka wnet zimną wodą zlewają entuzjazm dziecka i powstrzymują je słowy: „Nie, my tobie nie pozwolimy ginąć dla ojczyzny. Niczem jest dla nas ojczyzna, w porównaniu z twojem życiem!“ Kto tak przemawia do synów, ten wychować musi nędznych egoistów, nie zaś szlachetnych kraju swego obywateli i obrońców.

Żydzi także budzili i budzą cześć niezawodnym spełnianiem rodzinnych obowiązków i jako indywidua zasługują na szacunek i sympatyę, ale każdy człowiek przedstawiać musi

nie tylko jednostkę, zadawalającą się kółkiem familijnem, lecz część wielkiego społeczeństwa, zwanego narodem i częścią większego jeszcze społeczeństwa, zwanego ludzkością. O indywiduach, nie przyznawających się do tych po za domowych obowiązków, słusznie mówi się: Morituri.

Istniały może patryarchalne czasy, kiedy jedni drugim krzywdy nie wyrządzali, kiedy nikt nie posiadał za dużo, a także nikt nie narzekał, że ma za mało, podobne czasy istnieje może znowu będą kiedyś, lecz nie istnieje w obecnej chwili. A zatem, nikt, pożądający ludzkiego szacunku, niema prawa zasklepić się jedynie w kółku rodzinnem i twierdzić, że spełnia swoje obowiązki, ponieważ pielęgnuje rodziców i fetyszów robi z własnych dzieci.

Niema religii, któraby przypominała rodzicom obowiązek kochania dzieci, bo toby się równało przykazaniu: „Kochaj samego siebie.“ A ten dopiero staje się godnym nazwy człowieka i sługi Chrystusowego, kto po nad dzieci własne, czyli po nad siebie samego, inny szlachetniejszy i piękniejszy ukocha ideał,—któremu i siebie i dzieci swoje gotów w danej chwili nieść w ofierze.

Syryjscy Arabowie nie piastują w duszy ideału wyższego i dostojniejszego, niż ideał samolubnej miłości rodzinnej, przeto każdy, kto ich gruntownie pozna, z żalem i smutkiem powtórzyć musi: *Morituri!*



Wystawa pamiątek po Chopinie i Moniuszce.



Aby uczcić i przypomnieć ogółowi wielkich naszych, nieśmiertelnej sławy pieśniarzy, Chopina i Moniuszkę, aby udostępnić wszystkim poznanie pamiątek po nich pozostałych, tułających się dotychczas w zbiorach prywatnych, Towarzystwo Muzyczne urządziło wystawę w lokalu Szkoły własnej (Jeruzolimka, 80), a przyznać trzeba, uczyniło to z pietyzmem i niezwykłą starannością. Grono ludzi, którym kult pieśni w duszy jest złożony i wielkie umiłowanie tych twórców pieśni ludowej, podjęło drobiazgową pracę uporządkowania tych cennych materyałów i wystawienia ich na światło dzienne. I choć słowa, które były żywym odbiciem myśli i uczuć zamknięto w gablotkach, choć zamilkły tony wydobywane niegdyś ręką genialnego mistrza, niemniej duch jego żyje i zdaje się nam obecny. Woń wspomnień unosi się z pamiątek, powiedanych róż, spopielałych uczuć...

— „Proszę, aby po moim zgonie dokonano sekcji, gdyż nie chciałbym być pochowany żywym“—pisze na łożu śmiertelnym ostatnie słowa Chopin, w przeczuciu zgonu. I stało się to, czego w realnem, materyalnym znaczeniu tak się obawiał: pochowany, a mimo to żywy! Żywy w swych twórcach muzycznych, żywy w pieśni i w duszach ludzkich przytomny i uwielbiany! Ten, któremu „melodyą szumiały drzewa, i strumień, i ptaki spiewały,“ którego serce było tą harfą Eolską, tak czuła na podmuchy wrażeń i uczuć, a tak bezlitośnie przez życie zmrożonem, ten, choć powłoka jego cielesna spoczęła na ementarzu Montmorency, pozostał wśród nas żywy, przytomny duchem, jako wiekuiste natchnienie dla nowych twórców, jako posiew z ducha i myśli.

Ale przejdźmy do gablotek: w jednej z nich autografy Chopina—listy i nuty; listy pisane do siostry Ludwiki Jędrzejowiczowej, do przyjaciół, Fontany, Witwickiego, Żywnego, Elsnera i t. p., autograf pieśni: „Gdybym ja była słoneczkiem na niebie,“ w innym tempie i układzie, jakiego dziś ogólnie używają; dalej paczka listów poźółkłych, związanych różową

wstążeczką z napisem: „Moja bieda,“ ot, jedno uczucie stargane, jedno złudzenie pogrzebane... Jak na urągawisko tyranii czasu wizerunek ideału pierwszej miłości poety tonów Konstancyi Gładkowskiej przedstawia nam ją jako sędziwą staruszkę w czepcu. *Tout passe...* Z tego zbiorku najwięcej serca wieje. „Moje życie“ — pisze w nagłówku listu do przyjaciela, któremu był istotnie częstką żywotną, zespoloną z jego jestestwem węzłami przyjaźni. W innej gablotce książka szkolna młodego Fryderyka: „Historia starego Testamentu,“ a dalej czerwono oprawna nagroda z liceum warszawskiego, potem książka w aksamit fioletowy oprawna i własnoręcznie pono haftowana przez ks. Czartoryską, darowana przez Chopina siostrze, a dalej jak w życia kalejdoskopie, przesuwają się: programy koncertów, krytyki pism zagranicznych, pełne pochwał i nadziei na przyszłość, pisma i wizerunki z Karlsbadu, Maryenbadu i Reinerz (1826—36), gdzie letnie miesiące spędzał i koncertował. A potem już wizya choroby, pobyt na Majorce, tęsknota ze krajem i przyjaciółmi, ujawniona w listach i demon jego życia, który mu wysłał wiarę w siebie, siły, uczucie i pozostawił rozbitcie, gorycz i niesmak — fatalne życiowe Ananke — George Sand.

Liczne są jej wizerunki; sztychy, fotografie, miniatury, rysunki wyobrażające Chopina, a w końcu akt zejścia, pasmo włosów mistrza, maski pośmiertne, rysunki na łożu śmierci, fotografie grobowca i pomnika na cmentarzu paryzkim.

A między temi etapami życia od kołyski do grobu mieszczą się fotografie kościoła, w którym chrzest przyjmował, rysunki uciśnione, ręką 12-letniego Fryderyka kreślone, zegarek, jakiego zwykle używał, i drugi, złoty, prezent śpiewaczki Catalani, lichtarze, lustro, krzeselka i fortepian Pleyela. Zgrupowano także szereg obrazów, biustów, miniatur, pocztówek, wydawnictw literackich opublikowanych o życiu i dziełach Chopina, i muzycznych, w których pierwiastki melodi narodowej polskiej i pieśni ludowej służą za niewyczerpane źródło podniosłego natchnienia.

Druga sala poświęcona jest Stanisławowi Moniuszce. Zgromadzono tu partytury orkiestralne, począwszy od małych operetek: „Ideal,“ „Loterya,“ „Bajka,“ „Beata,“ do większych oper, jak: „Flis,“ „Jawnuta,“ „Verbum Nobile,“ „Straszny Dwór,“ „Halka,“ „Hrabina,“ „Trea,“ których rzewnością i melodią do dziś się zachwycamy.

Największą sławę i uznanie zyskały Moniuszce „Spiwniki,“ w których melodye rodzime, swojskie, proste, przystępne dla ucha, przy pięknym akompaniamencie, miały dar wzruszania serc.

Z osobistych pamiątek po Moniuszce jest biurko, fortepian, na którym grać się uczył, zbiór listów, pisanych przeważnie do żony, fotografie i sztychy rodzinne, obraz własnoręcznie wykonany piórkiem, przez naocznego świadka, Czesława Moniuszkę, ojca Stanisława, a przedstawiający odwrót wojsk przez Berezynę w czasie kampanii 1812-go roku. Na znaczenie zasługuje zdjęcie wsi Ubiel w gub. Mińskiej, w której nasz muzyk świat powiłał.

Za nagromadzenie tak wielu interesujących szczegółów, dotyczących Chopina i Moniuszki, należy się Towarzystwu serdeczna podzięką i wyrazy uznania.

G. T.



Kronika działalności kobiecej.



— W dniu 17-ym b. m. odbył się wiec polskiego Związku kobiet, pracujących w przemyśle, handlu i biurowości. Zgromadziło się

około 300 uczestniczek. Porządek obrad był następujący:

Słowo wstępne, omawiające różne fazy, które przechodził w latach ubiegłych projekt założenia Związku, odczytała p. Bogatko-Englert. W referacie tym opowiedziała koleje opracowania ustawy, począwszy od jesieni 1901-go roku, dalej przesłanie jej do Petersburga adwokatowi Olszewskiemu w 1902-gim r., odmowę zatwierdzenia przez ministerium, w końcu zawiadomienie, otrzymane w roku 1903-im z kancelaryi warszawskiego gubernatora, że inicjatorce przyłączyć się mogą do Stowarzyszenia pracowników handlowych m. Warszawy, lub do Związku roboczego. Rok 1904 przeszedł we *względnej* bezczynności, gdyż starań o założenie Stowarzyszenia nie przerywano, ale skutku żadnego nie odniosły.

Następnie odczytano całkowitą ustawę, rozszerzoną i dostosowaną do obecnej chwili i warunków. Ustawę opracowały inicjatorce wiecu, a mecenas Papiński poczynił w niej pewne poprawki pod względem prawnym. Podług tej ustawy:

§ 1). Związek ma na celu zrzeszenie się kobiet, pracujących w przemyśle, handlu i biurowości i rozwijanie poczucia solidarności, aby wspólnymi siłami: 1) zdobyć sobie poprawę warunków pracy zawodowej i bytu, 2) zabezpieczyć egzystencję na starość i pomoc materyjalną dla chwilowo pozbawionych pracy, 3) krzewić pożyteczne wiadomości fachowe, 4) zorganizować życie towarzyskie pracowniczek.

§ 2. Środkami do osiągnięcia powyższych celów będą w miarę rozwoju Związku.

1). Założenie Biura rekomendacji pracy w zakresie przemysłowym, handlowym i biurowym i ześrodkowanie w niem wszelkich w tym zakresie pracy, informacji.

2). Zakładanie przedsiębiorstw współdzielczych i pracowni zawodowych.

3). Ułatwienie uczestniczkom Związku kształcenia się zawodowego.

4). Założenie kasy pożyczkowo-oszczędnościowej dla uczestniczek.

5). Udzielanie wsparć potrzebującym uczestniczkom w razie choroby.

6). Zorganizowanie pomocy lekarskiej.

7). Zorganizowanie pomocy prawnej.

8). Urządzenie własnej biblioteki i czytelnicy.

9). Urządzenie „Schroniska“ dla weteranek pracy.

10). Urządzanie „Letnisk“ i „Pensyonatów“ dla uczestniczek.

11). Utworzenie klubu towarzyskiego z urządzaniem wieczornic, odczytów, rautów, koncertów, tudzież koncertów zbiorowych.

Z kolei programu p. Obrzańska odczytała referat o konieczności założenia przy Związku biura rekomendacji pracy.

Następnie p. J. Oksza Kisielewska wygłosiła piękny odczyt p. t. „Kobiety wobec dnia dzisiejszego,“ który wywołał ożywioną dyskusję.

P. Bogatko-Englert zawiadomiła, że po przystąpieniu do Związku odpowiedniej liczby członkiń, odbędzie się zebranie ogólne, kandydatki zaś zapisywać się mogą u delegatek, tworzących komitet tymczasowy, który dyżuruje codziennie z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 7-ej, do 9-ej wieczorem, przy ulicy Hożej, Nr. 39, m. 10.

Z. S.



Kroniczka.



— W dniu 23-im b. m. odbyła się uroczystość uczczenia pamięci trzech wieszczów: Adama, Juliusza i Zygmunta. Po odprawieniu solennego nabożeństwa w kościele św. Jana, przy wtórce pieśni „Dudy,“ „Drużyny“ Towa-

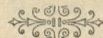
rystwa Handlowców i współdziałale orkiestry Filharmonii, odbył się oryginalny pochód zgromadzonej publiczności, postępującej za karetami, w których przewieziono na miejsce wieńce przeznaczone do złożenia u stóp pomnika Mickiewicza na Krakowskim-Przedmieściu, oraz na płycie pamiątkowej dla Słowackiego w kościele św. Krzyża. Krasieńskiemu nie poświęcono dotychczas widomego znaku pamięci i uznania, dlatego musiano poprzestać na modłach za jego duszę. Obchód urządzony był staraniem połączonych Towarzystw: Wioślarskiego, Cyklistów, Łyżwiarzkiego, Handlowców, Ogrodników i Sokółów. U trumny symbolicznej złożone były wieńce z następującymi napisami: „Nieśmiertelnemu duchowi Adama, Juliusza i Zygmunta“ — potomni rodacy 23|XIII. 1905.— „Adamowi Mickiewiczowi, nieśmiertelnemu wieszczowi polskiej ziemi—Warszawskie Towarzystwo Wioślarskie.“ — „Adamowi Mickiewiczowi—Sokół Warszawski,“ „Nieśmiertelnemu wieszczowi — rzemieślnicy warszawscy.“

— Od dnia 22-go b. m. ogłoszono znowu wprowadzenie stanu wojennego w Królestwie Polskim.

— Stowarzyszenie Nauczycielstwa polskiego zostało zorganizowane po wiecu w Filharmonii. Jest to związek zawodowo-kulturalny; liczy już z górą 160 członków.

— „Kuryer Codzienny“ został ponownie zawieszony, a nowo-powstałe pismo, „Trybuna ludowa,“ od razu skonfiskowane.

— Aresztowania i rewizje są na porządku dziennym.



SPROSTOWANIE.

W skutek pomyłki zecerańskiej w artykułach p. E. Jerliczowej: **O Mikołaju Reju z Nagłowic**, zamieszczonych w numerach 47 i 48, 49 i 50-ym zamiast „W 400-setną rocznicę urodzin“ (1505), zamieszczono wadliwie: „W pięćsetną,“ co niniejszem prostujemy.

OD REDAKCYI.

W smutnych warunkach wydajemy ostatnie numery z r. 1905-go i w smutnych rozpoczynamy druk pierwszych na rok 1906-ty.

Pragniemy choć krótkim słowem usprawiedliwić przed Czytelniczkami zwłokę w wydawaniu naszego pisma, jaka jeszcze przeciągnąć się może.

Strajki w drukarniach, trwające po dni i tygodni kilka, uniemożliwiały złożenie numeru w czasie właściwym, — strajk pocztowy nie dopuszczał artykułów, przysyłanych nam z po za Warszawy, — strajk kolejowy pozbawił nas klisz do dodatków, na które, wiemy dowodnie, czytelniczki nasze tak niecierpliwie czekają.

Mamy nadzieję, że nierówności te, zgola od nas niezależne, nie wpłynęły na zmianę uznania i życzliwości, jakimi „Bluszcz“ cieszył się dotychczas. Trwając lat tyle i stale, mimo różnych przeszkód, dążąc do rozwoju i postępu, zdobywszy u nas tak w literackim, jak i w gospodarskim kierunku, stanowisko najpierwszego pisma dla kobiet, pismo nasze z uczciwą prostotą przemawia dziś do swych czytelniczek, ufne, że jako Polki, szanujące słowo polskie, żywotnie występujące na polu ruchu kobiecego, w ciężkich chwilach, jakie przeżywamy, zachowają dla „Bluszczu“ te same: życzliwość i zaufanie.

Treść numeru:

Ks. Ignacy Hołowiński, przez K.—Plomyk (urywek z większej całości), przez Eugenię Żmijewską (dokończenie).— Serce, odczyt d-ra Henryka Nusbauma (dokończenie).— Stara męka (wiersz), przez W. Dzierżanowskiego.— Z pobytu na dalekim szlaku, przez A. Trippinównę (dokończenie).— Wystawa pamiątek po Chopinie i Moniuszce, przez G. T.— Nd Redakcyi.— Kronika działalności kobiecej, przez Z. S.— Kroniczka. — Ogłoszenia

Do dzisiejszego numeru dołącza się arkusz 8-my powieści Ryszarda Voss'a p. t. „Willa Falconieri,“ w przekładzie Melanii Łaganowskiej.

Dodatek: Opis ubiorów i robót (rycin 22). — Przepisy kuchenne, oraz Tablica krojów.

PUDER
DELICIA

w pud. po 15, 30 i 50 kop.

Centralne Laboratorium Chem.

(Czekaj i Krysiewicz) w Warszawie.

Najmniejszy, przylegający, niewidoczny.

Sprzedaż w składach aptecznych i perfumeryach.

STEFAN RZYMSKI

Księgarnia Skład Nut i Czytelnia

Warszawa - Praga, Wileńska № 1.

Poleca na Nadchodzące Święta Książki gwiazdkowe dla dzieci i młodzieży, wielki wybór Kalendarzy do zdzierania.

Aromatyczne **PERFEKT** Mydło
w proszku.

Do prania bielizny, mycia i szorowania wszelkich przedmiotów.

Znakomite i higieniczne do kąpieli.

Żądać we wszystkich Składach Aptecznych i Mydlarniach.

M-me Mercère

Francuska szkoła kroju i szycia

Nowy Świat 42.

Krój paryski bez rysowania form.

Kursy wieczorne dla pracujących po niższej cenie. Patenty Cechowe.
PENSYONAT.

Zakład dla przychodnich chorych

D-ra med. A. KOZERSKIEGO

ul. Hortensja № 4.

Choroby skóry i włosów

Elektroliza, Gabinet Roentgena, Pinesena, Radium, Termoterapia.
Oddzielne ambulatoryum dla mniej zamożnych chorych.

PRACOWNIA STROJÓW

Damskich i Dziecinnych

pod firmą

„Paryski Salon Miod“

Krucza № 34, m. 1.

Przyjmuje do roboty kapelusze z własnych i powierzonych materiałów, oraz wszelkie przeróbki.

Przyjmuje też płatne uczennice ucząc na własnych materiałach.

Stanisława.

Księgarnia J. Fiszer, Nowy-Świat 9 w Warszawie—zaleca dzieła pedagogiczne **Reussnera** do bardzo prędkiej i najłatwiejszej nauki **Języków Obcych, bez nauczyciela** z objaśnieniem wymowy i z kluczem pod tyt.:

SAMODUCZEK. Polsko-Niemiecki kurs wstępny (Elementarz) po k. 5, 12, 24 i 40; kurs I-y k. 80, kurs II-gi rb. 1.60.

Rusko-Niemiecki po kop. 5, 12, 24, 40 i 2.20.

Polsko-Francuski kurs I-y k. 1.20; kurs II-gi rb. 3.20.

Gramatyka Polsko-Francuska kop. 1.20.

Wypisy Francuskie kop. 80.

Polsko-Angielski kurs I-szy kop. 75; kurs II-gi kop. 1.20.

Amerykański Przewodnik kop. 50, mały kop. 5.

Polsko-Ruski Elementarz po kop. 5, 12, 24, 40;—kurs I-y kop. 1.40;—kurs II-gi kop. 1.80.

Nakład autora **Złota 6, Warszawa.**

Dla panien

uczęszczających do szkół, sklepów i magazynów są miejsca w drugim „Ognisku domowym“ Mazowiecka 11. Całe utrzymanie rb. 10—12 miesięcznie. W Czasowym Schronieniu, młode osoby poszukujące pracy, znajdują pomieszczenie bezpłatnie.

BIURO NAUCZYCIELSKIE

WASILEWSKIEGO,

Warszawa, Marszałkowska 123,

poleca: nauczycielki, bony, freblówki; sprowadza cudzoziemki.

PASTYLKI od ZGAGI

i na polepsz. trawienia

wyrabia apteka **Ap. Kowalskiego**, Graniczna 10, bez dod. klejów, lecz przez sprasowanie sody z pepsyną. C. 40 k. Sprzedaż w składach aptecz. i aptekach. **Prawdziwe** i bez kleju tylko z 3-kolor. podpis. **Wl. Russyana i firmą Ap. K-go.**

Józef Jankowski.

ZWROTKI

wydawn. GEBETHNERA i WOLFFA

Na wytwornym angielskim papierze z portretem autora

☆☆☆

Cena 75 kop.

Zamawiający przez Redakcję „Bluszczu“ nie ponoszą kosztów przesyłki.

TYLKO RUBLA

w Warszawie, a **rb. 1 kop. 25** na prowincyi i w Cesarstwie wynosi prenumerata kwartalna tygodnika ilustrowanego

„**NAOKOŁO** —
— **ŚWIATA**”

Jedynе pismo polskie podróźnicze

wychodzące od r. 1902.

Prenumeratę przyjmują księgarnie, biura dzienników, oraz Redakcja Elekoralna № 18, Telefonu № 137, w Warszawie.

Ś W I A T

Nowy tygodnik ilustrowany, poświęcony sprawom narodowym, literaturze, sztuce i życiu bieżącemu, zaczął wychodzić w Warszawie od dnia 20 Grudnia r. b. nakładem Towarzystwa akc. S. Orgelbranda i Synów, pod redakcją **Stefana Krzywoszewskiego**, przy współudziale najcelniejszych sił literackich i artystycznych.

ŚWIAT kosztować będzie kwartalnie w Warszawie 1 rb. 75 k., na prowincyi 2 rb., zagranicą 3 rb. Kto przed dniem 28 Grud. r. b. złożył prenumeratę na kwartał I-szy 1906 r. otrzyma **bezpłatnie** wszystkie numery, które wyjdą w Grudniu r. b.

Numer pojedynczy „**ŚWIATA**“ kosztować będzie 15 kop.

ŚWIAT zawierać będzie od 28 do 30 stronice druku, ozdobionych licznymi **illustracyami**, poświęconymi przeważnie sprawom **aktualnym**.

Do każdego numeru dołączone będzie **premium** w postaci artystycznej karty albumowej.

Adres Redakcyi i Administracyi **ŚWIAT**

Al. Jerozolimska 49. Telefon 80 75.

Adres telegraficzny „**ŚWIAT — WARSZAWA**“.

Zapowiedziana przez Redakcję tygodnika „Bluszcz“

KSIĄŻKA ZBIOROWA p. t.

„**Kobieta Współczesna**”

zawierająca prace najcelniejszych autorek i autorów, objętości 366 str. wielkiego formatu opuściła prasę i jest do nabycia w administracyi „Bluszczu.“

Prenumepatorki „**BLUSZCZU**” płacą za powyższe dzieło

tylko rb. 1.

Przesyłka pocztowa kop. 40.

Cena księgarska rb. 3.



№ 1. Kostyum wizytowy z brązowego aksamitu.

Wzory ubiorów i robót do Nr. 53.

№ 1. Kostyum wizytowy z brązowego aksamitu.

Spódnica, sporządzona na oddzielnej podszewce, zastębnowana na biodrach w drobne fałdy, swobodnie rozrzucające się poniżej, zakończona czterema szerokimi plisami, z których tylko ostatnia u dołu, otacza spódnicę dookoła, inne zaś kończą się przy przednim brycie. Ponad plisami, z obu stron, na szwach przednich naszyte ozdobne, fantazyjne guziki. Krótki, ufaldowany kaftanik, otwarty na bluzce z haftu, obcisniętej wysokim, gorsecikowym paskiem z materyi Liberty w kolorze odpowiednim do koloru aksamitu. Przody kaftanika podłożone haftem i ozdobione guzikami. Mały, wykładany kołnierzyk i mankiety przy umiarkowanie szerokich rękawach, sporządzone z grubej irlandzkiej gipiury.

№ 2. Kostyum wizytowy z sukna.

Kostyum z gładkiego, lśniącego sukna w modnym, ciemnym kolorze, składa się z gładkiej, powłóczystej spódnicy, ułożonej w około w luźne, głębokie fałdy. Spódnica, szeroko stębnowana w dole, sporządzona na oddzielnie wykończonym spodzie z taffetas, w odpowiednim kolorze. Krótki kaftanik, z krótszemi jeszcze przodami podłożonemi białą sukienką, haftowaną kamizelką, zapięty na kaszulce z plisowanego chiffon, wyrzuconej trochę nad stan, obcisnięty paskiem z materyi, w tonie sukni. Rękawy do łokcia, podłożone haftem na białym suknie. Guziki z masy perłowej, przyszywanej od spodu.

№ 3. Luźny paltocik, zapięty na dwa rzędy guzików. (Patrz szkic h).

Skromny paltocik formą *sac*, z grubego, czarnego, albo ciemno-granatowego szewiotu, podszyty lekkim futerkiem albo moltonem i jedwabną podszewką. Przybranie stanowią szwy rozszywane i stębnówka, tworząc na plecach (patrz szkic h) rodzaj małego, prostego karczka.

№ 4. Wcięty paltocik z granatowego sukna. (Patrz szkic g).

Wcięty paltocik z granatowego sukna, zapięty na jeden rząd perłowych guzików, podszyty bieliskami albo moltonem i jedwabną podszewką. Przody i plecy (patrz szkic g), skrojone razem z karczkiem, stębnowane na wierzch, co stanowi pewne przybranie. Mały, wykładany kołnierzyk, wyszyty aksamitem w dobranym kolorze i małe klapki, wykończone po meżku. Rękawy gładkie, przy ramieniu sfałdowane, przy rękę zapięte na 3 guziczki.

№ 5. Pluszowe okrycie dla dziewczynki od 5—7 lat.

Luźne okrycie formą *sac*, z brązowego pluszu, na podwatowanej i przepikowanej, brązowej, atlasowej podszewce, przybierają mankiety i kołnierzyk z imitacji gronostajów. Przody okrycia głęboko zachodzące na siebie, kryto z boku zapięte.

№ 6. Okrycie sukienne dla dziewczynki od 6—8 lat.

Okrycie z piaskowego, lub granatowego sukna na ciepłej podszewce, może też być wykonana na podszewce lżejszej i służyć jako okrycie wiosenne. Kolisto skrojone i rzucające się w dole w fałdy, w górze obcisnięte prostym karczkiem, schowanym pod kołnierzyk z grubej, żółtawej gipiury (torchon). Rękawy szerokie, do łokcia zastębnowane w zakładki. Zapięcie kryte, w dole szeroka stębnówka.

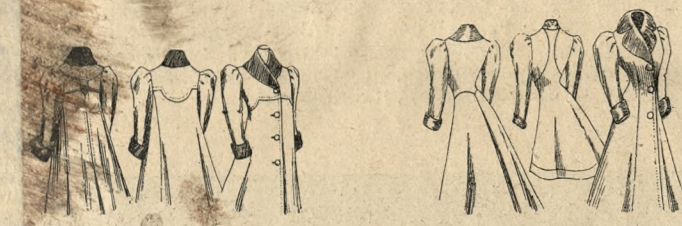


№ 2. Kostyum wizytowy z sukna.



3. Luźny paltocik zapięty na dwa rzędy guzików. (Patrz szkic h).

4. Wcięty paltocik z granatowego sukna. (Patrz szkic g).



Szkice a, b i c do ryc. 11, 12 i 13.

Szkice d, e i f do ryc. 9, 10 i 15.



9. Długie okrycie z futrzanym kołnierzem. (Patrz szkic d).



10. Długie okrycie zapięte na dwa rzędy. (Patrz szkic e).



11. Okrycie z sealskinu z długimi, odciętymi połami. (Patrz szkic a).



5. Pluszowe okrycie dla dziewczynki od 5-7 lat.



12. Wcięty paltocik ze skórek nurkowych. (Patrz szkic b).



13. Okrycie z karakułów z szynszylowym kołnierzem. (Patrz szkic c).



14. Lekko wcięte okrycie z szarego angielskiego materiału. (Patrz szkic i).



15. Długie okrycie z faldami. (Patrz szkic f).

№ 7. Paltocik wcięty z jasno brązowego sukna. (Patrz szkic k).

Paltocik z jasno brązowego sukna przybierają szwy stebnowane na podłożeniu z sukna w ciemniejszym tonie, zakończone małą aplikacją z materiału, też wykończonymi wypustką z sukna ciemniejszego. Na aplikacji naszyte drobne, złożone guziczki. Szwy i aplikacje wykończone są nadto trójkąkami, wyhaftowanymi jedwabiem w dobranym tonie. Mały kołnierzyk i klapki wykończone po meżku. Proste mankiety, przy gładkich rękawach, wykończone odpowiednio. Całość starannie stebnowana. Podszewka jedwabna, strojna.

№ 8. Wcięty paltocik z długą baskiną. (Patrz szkic l).

Gładki paltocik z grubego *covert-coatu* przybiera jedynie bardzo staranna stebnowka. Wąskie plisy z materiału pokrywają do stanu szwy pleców i przodów i tu przedłużone schodzą do połowy baskiny. Baskina w około gładka, z tyłu złożona w kryte fałdy. Kołnierzyk wykładany. Zapięcie na jeden rząd perłowych guzików. Rękawy gładkie, przy ramieniu fałdowane. Podszewka jedwabna, jasna.

№ 9. Długie okrycie z futrzanym kołnierzem. (Patrz szkic d).

Luźne, długie okrycie z dowolnie wybranego materiału, skrojone zmodernizowanym fasonem Empire, obciśnięte w górze rodzajem krótkiego kaftanika, wszytego w okrągły, gęsto przestebnowany karczerek. Kaftanik, dwa razy z przodu i raz w pośrodku pleców przepięty wystebnowanymi patkami, łączącymi się ze szwami okrycia. Kołnierzyk z wyłogami i proste mankiety, przy umiarkowanie szerokich rękawach, z nurków, skunksów, lub innego puszystego futra. Okrycie wykończone materiałem, podszycie bieliskami.

№ 10. Długie okrycie zapięte na dwa rzędy. (Patrz szkic e).

Okrycie z grubego meżkiego szwiotu w granatowym kolorze, podszycie popielicami, tak samo jak i porządnie, obciśnięte w górze rodzajem krótkiego kaftanika, z pod którego dolna część okrycia, ułożona na plecach w płaską fałdę (patrz szkic e), swobodnie się układa. Na stojącym karczku, wyłożony kołnierzyk z karakułów i także mankiety, dopełniają przybrania.

№ 11. Okrycie z sealskinu z długimi, odciętymi połami. (Patrz szkic a).

Okrycie z sealskinu lub z brązowego jedwabnego pluszu, na jasno brązowej, adamaszkowej podszewce, lekko na puchu przepikowanej, zapięte na 2 rzędy strassowych, albo prłowych guzików. Kołnierzyk prosty, szalowy. Mankiety też proste, odwinięte na gładkich, wąskich rękawach. Duża mufla szynszylowa dopełnia eleganckiej całości.

№ 12. Wcięty paltocik ze skórek nurkowych. (Patrz szkic b).

Wcięty, kryty zapięty paltocik z pięknie dobranych skórek nurkowych, lub z pluszu w szerokie pasy, przybiera haft brązowy na kremowym suknie. Wyższa część paltocika tworzy rodzaj okrągłego ściętego bolera, spiętego na kokardę z futra, związaną ogonkami i podłożoną kremową gipiurą. Wycięcie podłużne przy szyi podłożone haftowaniem suknem, mankiety z tegoż sukna. Paltocik podszycy kremową, jedwabną, na lekkiej wacie przepikowaną podszewką.

№ 13. Okrycie z karakułów z szynszylowym kołnierzem. (Patrz szkic c).

Długie okrycie z pięknie dobranych karakułów albo breitschwanców wykończone na przepikowanej na puchu, atlasowej podszewce, przybierają srebrne, oksydowane guziki w puchu, atlasowej podszewce, przybierają użyć można plusz czarny albo brązowy.

№ 14. Lekko wcięte okrycie z szarego, angielskiego materiału. (Patrz szkic i).

Okrycie z pledowego, angielskiego materiału, bardzo praktyczne na deszczową porę, sporządzane na moltonie i jedwabnej podszewce w dobranym kolorze. Oryginalnie skrojone przody łączą się z bokami krótkiego kaftanika, obciśkającego plecy. Dół, kolisto skrojonego okrycia, układa się w swobodne fałdy. Wykładany kołnierzyk i mankiety całe zastebnowane. Rękawy, umiarkowanie szerokie, przy ramieniu ułożone w fałdy.

№ 15. Długie okrycie z faldami. (Patrz szkic f).

Długie okrycie z szwiotu, lub innego okryciowego materiału obciśnięte w górze rodzajem krótkiego bolera, (patrz szkic f), spiętego na plecach patką wykrojoną przy bocznych z jednej sztuki. Fałdy, w części zastebnowane rozrzucają się swobodnie poniżej bioder i nadają okryciu dostateczną szerokość. Rękaw swobodny, gładki, przy ramieniu ułożony w fałdy. Kołnierzyk i mankiety karakułowe. Okrycie podszycie lekkim futrem, jak bieliski, popielcie i t. p. albo sporządzone na podwątowanej jedwabnej podszewce.

№ 24. Wizytowa suknia z chusteczkowym stanikiem. (Patrz szkic m).

Materiał: zielone, gładkie sukno. Powłóczysta spodnica, sporządzona na oddzielenie wykończonym spodzie z tafietas, naszyta w dole szerokimi plisami z materiału i kremową, gipiurą wstawką. Chusteczkowo upięte



7. Paltocik wcięty z jasno brązowego sukna. (Patrz szkic k).

8. Wcięty paltocik z długą baskiną. (Patrz szkic l).



Szkice g, h, i, k i l do ryc. 4, 3, 14, 7 i 8.



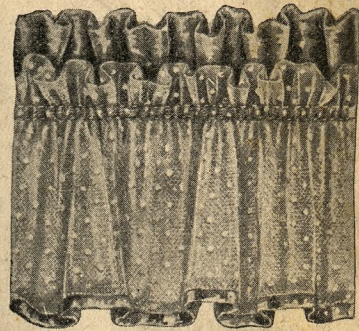
№ 16. Rozeta z jedwabnej materyi do przybrania dzieciennych kapeluszy. (Patrz ryc. 17).



№ 18. Rozetaz marszczonej materyi. (85 ctm. dług., 7 ctm. szer. ukos materyi jedwabnej, główka 2 ctm. szeroka.



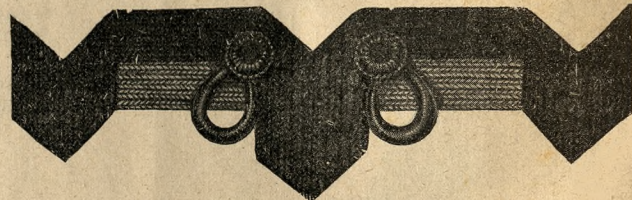
№ 17. Listek do rozetki ryc. 16. (10 ctm. dług. 6 ctm. szerok. ukos materyi jedwabnej, obrębiony z jednej strony w rulonik).



№ 20. Falbana tiulowa do przybrania jedwabnych spódniczek zakończona wypustką z materyi.

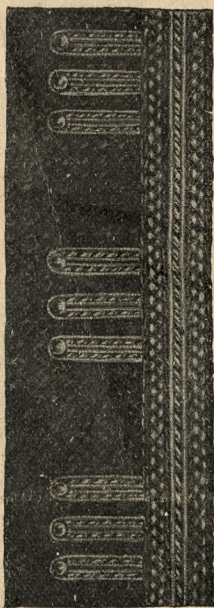


№ 19. Tok z ciemno zielonego aksamitu. Obłożenie z soboli. Z lewego, lekko podniesionego boku, pęk piór strusich w tonach zielonych *dégradés*.



№ 22. Taśma w dwóch kolorach, ozdobiona pasmanteryjnymi kółkami.

№ 21. Ozdobna pletnia w dwóch tonach. (Jasno i ciemno bronzowy).



№ 23. Ciemna pletnia naszyta jaśniejszą wążką i guziczkami.



№ 24. Wizytowa suknia z chusteczkowym



№ 25. Jedwabna, ozdobna pletnia w dwóch tonach.



Szkic m.

bolero, złożone na ramionach w potrójne rękawy, opada luźno na koronkowej, upliso-
wanej falbanie, oszyte w około plisą
materyału, zakończoną z przodu w kształ-
cie skrzyżowanych patek, umocowanych
zdobnymi guzikami. Rękawy do łokcia,
zakończone koronkową falbaną, przy ra-
mieniu przykryte długimi, namarszczone-
mi epoletami. Na przodach bolera inkru-
cacje z koronki. Bawecikowy pasek z mar-
szczonego, zielonego aksamitu.

Potrzeba: 8 mtr. sukna podw. szerok.,
1/3 mtr. gipiurowej wstawki 12 ctm. szer.,
1/3 mtr. gipiurowej koronki 15 ctm. szerok.
gipiurowe motywy, 1/2 mtr. aksamitu pan-
e, 2 ozdobne guziki.

